

WIECZORY RODZANNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

[38]

Książę Michał Ogiński.

Rysunek nasz przedstawia księcia Michała Ogińskiego, ostatniego podskarbiego litewskiego, z żoną, Izabellą z Lasockich. Jest to autor powszechnie znanych i ulubionych polonezów.

Książę Michał Kleofas Ogiński urodził się w r. 1765; według ówczesnych zwyczajów wychowany był zagranicą, miłował jednak kraj ojczysty i od młodości poświęcił się na jego usługi. W 19 roku życia wstąpił już na urządowanie, zasiadał w sejmie czteroletnim, jeździł do Holandyi, jako poseł nadzwyczajny, a następnie mianowany był wielkim podskarbidem litewskim. W czasie wojny 1794 roku utworzył własnym kosztem pułk strzelców konnych, którym osobiście w kilku bitwach dowodził. Osiadłszy następnie w zaciszu wiejskiem, w dobrach swych, Zalesiu pod Wilnem, poświęcał się naukom, ogrodnictwu, a zwłaszcza muzyce, której był wielkim miłośnikiem.

W tym czasie napisał także w języku francuz-

kim *Pamiętniki o sprawach kraju*, które wyszły później i w polskim przekładzie. Dzieło to obejmuje wiele ważnych i zajmujących szczegółów historycznych z ostatnich lat XVIII i początku XIX stulecia.



Książę Michał Ogiński.

Mianowany później senatorem, musiał część czasu przebywać w Petersburgu, a część w Wilnie, zawsze jednak powracał z największym upodobaniem na wieś. Na kilka lat przed śmiercią przesiadywał ciągle prawie we Włoszech z powodu choroby żony, sam też zakończył życie we Florencyi w r. 1833.

Ale największą sławę zjednały Ogińskiemu przeszliczne jego polonezy, w których dźwięczy rzewna, tęskna nuta rodzinna. Wielką to jest zasługą jego, że pomimo wszystkich wpływów cudzoziemszczyzny, którymi był od dzieciństwa otoczony, pomimo ciągłych wycieczek zagranicę, i ciągłej styczności z artystami obcymi, studiując z za-

pałem sztukę niemiecką i włoską, umiał jednak swym kompozycyom nadać charakter miejscowy. Pierwszy to był kompozytor polski, który wybrał

taniec narodowy, polonez, i nadał mu piękną i szlachetną formę.

Wszystkie polonezy Ogińskiego są pełne prostoty, melodia w nich niewyszukana, niema tam ani błyskotliwych pasażów, ani trudności, zwykle też grywa je nawet i młodzież niezbyt jeszcze w muzyce wydoskonalona. Polonezy te zapewne dobrze są znane tym wszystkim czytelnikom Wieczorów, którzy się uczą gry na fortepianie.

SPEŁNIONE ŚLUBY.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW,

przez M . . a.

Około roku 830, w starożytném mieście Hamburgu, w gmachu należącym do świeżo założonego tu arcybiskupstwa ś. Ansgara, w sklepionej, wysokiej, o najprostszém urządzeniu izbie, żywo i z zajęciem rozmawiali ze sobą dwaj ludzie, w szaty duchowieństwa przybrani. Starszy z nich, nieuderzającej niczém powierzchowności, oprócz pewnej rzeźwej swobody i niezmiernie wesółych oczu, był to sam ś. Ansgary, słynny ze swych licznie odbywanych misji chrześcijańskich w krajach Europy północnych, nadbałtyckich zwłaszcza. Ku temu właśnie założone zostało i nowe jego arcybiskupstwo w tych stronach, aby ztąd, z Hamburga, niby z blizkiego ogniska, tém łatwiej mogły rozchodzić się promienie chrześcijańskiej prawdy na pogańskie a liczne plemiona Normanów i Słowian.

Drugi duchowny, rozmawiający z arcybiskupem, był to ulubiony jego w apostołskich wycieczkach towarzysz Withmar. Bo tacy wędrowni apostołowie, którzy do dzisiaj w pieśniach i legendach ludowych mają nazwę *aniolów pańskich*, zawsze tak po dwóch chodzili na chrześcijańskie swe wędrowki. Withmar trochę roślejszy, a z pozoru rzutniejszy od arcybiskupa, chodząc żwawo nokoło dużego stołu, zarzuconego papierami, uderzał weń pięścią w takt własnym krokom, wykrzykując przytém niezbyt głośno, ale rezolutnie bardzo:

— A więc naprzód! na Szweda! na Szweda!

Miało to wszystko i ruchy, i wykrzykiwania Withmara, taki pozór, jakby to nie świątobliwy apostoł na prawdopodobne męczeństwo, ale raczej żołnierz jaki zawadyaka wybierał się na wojaczkę. I gdyby tak się wybierał jaki niedoświadczony, po raz pierwszy idący na misyą chrześcijańską do pogan apostoł, to z pewnością nie podobałaby się wielce arcybiskupowi ta jego wielka, a trochę bu-

tna ochoczość, i małą jużby o nim miał arcybiskup nadzieję. Gdyż tradycje chrześcijańskie pełne są dowodów, że nazbyt butni a pochopni do świątobliwych dzieł chrześcijanie, najczęściej nie dotrzymywali placu w chwili ostatecznej próby. Ale Withmara znał już doskonale arcybiskup, bo sam z nim bywał nie w jedném niebezpieczeństwie na misyach, i widział go w chwilach ciężkich, więc pewny był, że dzielny ten kapłan równie kornie a spokojnie zniesie choćby i samo męczeństwo, jak ochoczo się na nie wybierał. Więc nie smuciła arcybiskupa ta butność towarzysza, i przeciwnie lubił go nawet za ten nieustający dobry humor, i teraz siedząc na ławie twardej, patrzył on z uśmiechem na biegającego po celi Withmara:

— A więc idę zamówić miejsca, bo wszakże jutro wypływa okręt ten... jak mu tam, do Szwecyi! — rzekł tenże, nagle zatrzymując się wśród celi. Pochwycił z kąta spory kij podróżny, a drugą ręką czapkę, i niby gotów w podróż do Szwecyi owęj, spojrzął po rozkazy ku zwierzchnikowi. Ale arcybiskup potrząsł tylko głową z uśmiechem, patrząc na tę szparką gotowość towarzysza:

— Wątpię bardzo, czy zajechalibyśmy do Szwecyi, wyjechawszy na tym okręcie z Hamburga — rzekł zwolna.

— Jakto? czemu? — pytał żwawy Withmar — przecież ten właśnie prosto do Szwecyi płynię!

— Tak — odpowiedział Ansgary — i właśnie dla tego, że prosto do Szwecyi płynię z Hamburga, będzie musiał płynąć dokola Jutlandyi, pośród wysp duńskich, pełnych czatującego na podróżnych korsarstwa, a korsarstwo ma zwyczaj tak szybko się z podróżnymi załatwiać, że ci, jeśli przypadkiem znajdzie się między nimi rybak podobny do nas, nie mają wcale czasu ani jedném słówkiem wędki chrześcijańskiej na korsarskie serca zarzucić. Dziękuję za to; życie jest to roboczy dzień pracy w winnicy Pańskiej, nie mam wcale ochoty przerywać tego dnia roboczego, i zbiegać z winnicy przed naznaczonym czasem, na co narażałbym się rozmyślnie, jeślibym wedle twój rady, bracie, płynął przez gniazdo korsarstwa, oddawał się w ręce rozbójnikom.

— A to cóż czynić? przecież nie dopłynię do Szwecyi, jeżeli nie popłynię do niej! — zmartwiony rzekł Withmar.

— Kto wie! czemu nie! — jakby żartując wesoło, mówił Ansgary — może i *dopłynię* nie popłynąwszy, przez połowę drogi przynajmniej, lecz *poszedłszy*..

— A!.. to jeszcze lepiej! bo po drodze już może się co zajmującego wydarzyć! — zawołał z radością Withmar, który może miał niejaki podo-

bieństwo ducha do tych podróżników, którzy to lubią niebezpieczeństwa, i szukają przygód w dalekich i dzikich krainach. Ale po chwili dodał:

— Ale któregoż pójść trzeba, aby zejść do Szwecyi? To chyba jakoś krążyć będziemy, najprzód na wschód, a potem na północ, daleko, bardzo daleko, i dopiero na zachód znów idąc...

Mówiąc tak, namyślał się Withmar głęboko, bo choć w owe czasy ogół ludu niezbyt był oświecony, to przecież uczony kapłan i podróżnik wiedział dobrze co mówił.

— Nie — odrzekł Ansgary — nie pójdziemy tak daleko, i część tylko drogi odbędziemy pieszo, skracając ją sobie owszem, zamiast przedłużać, i kierując się tak, aby iść przez krainy, które największe obiecują dać nam płony, najlepszy połów, nam rybakom dusz.

Mówiąc te słowa, arcybiskup Ansgary sięgnął ku papierom na stole, o który się wspierał, i wyciągnął z pośród nich kawał pergaminu, pokreślony i poznaczony w sposób podobny do tego, w jaki dziś znaczą się dla uczniów mapy tak zwane *šlepe*; była to w istocie mapa, jakkolwiek bardzo niedokładna, gdyż zrobił ją sam Ansgary, opierając się na własnych tylko i swoich uczniów wędrówkach apostołskich, w okolicach morza Bałtyckiego i głównych rzek, wpadających do niego z południowej strony. Była to więc naprawdę pierwotna jakaś mapa Słowian i Szwecyi, z której dopiero za jednym rzutem oka można było powziąć wyobrażenie, jak daleko te wędrówki zapuszczały się w ziemie Słowian nadbałtyckich, gdyż, acz niedokładna pod wielu względami, miała przecież mapę ta wyraźnie odznaczoną, nie tylko Odrę rzekę, ale nawet i Wisłę, zwłaszcza w niższej jej biegu połowie.

— Otóż tak pójdziemy... — powiedział arcybiskup, rozpostarłszy mapę przed sobą i swym towarzyszem. I postawiwszy wskazujący palec prawicy na dużej kropce, obok której wypisano było na mapie „Hamburg”, powiódł tym palcem ku wschodowi trochę krętą drogą, znaną mu już z poprzednich wycieczek, i zatrzymał palec dopiero w pobliżu wężykowato narysowanej rzeki, nie dochodząc do niej samęj przecież. Przy tej rzece był napis: *Wista*; w miejscu zaś, na które arcybiskup wskazywał, nie było ani miasta naznaczonego, ani rzeki żadnej, lecz tylko mnóstwo jakichś większych i mniejszych splątanych ze sobą plamek, które jakby rozrzucone tam na pergaminie zajmowały na nim cały obszar pomiędzy Wisłą i inną rzeką, przy której napisano było: *Warta*.

— Tu zejść musimy — rzekł Ansgary — bo nigdy tu jeszcze nie byłem, a dowiaduję się, że lud tam gościnny jest ducha; wiadomo zaś, że lud, szanujący gościnność, jest niby rolą przy-

gotowaną już pod siew ewangelii, która tę cnotę wielce zaleca; tak, że możnaby nieledwie powiedzieć, iż z gościem wchodzi do domostw Bóg.

— A niemożnaby z tego powiedzenia waszłej Przewielebności utworzyć jakiej krótkiej lokucyi dla ludów? tak jakto wasza Przewielebność umie czasem robić z pięknymi myślami?

W te słowa ozwał się Withmar, patrząc na ukochanego zwierznika, uderzony snadź jego ostatnimi wyrazy. Arcybiskup Ansgary albowiem miał zwyczaj układać piękne myśli w krótkie i treściwe zdania, i rozsiewać je niejako pomiędzy ludem, aby w ten sposób weń szczepić, niby bez jego wiedzy, moralność i oświatę. Na powyższe zapytanie Withmara zamyślił się na krótką chwilę arcybiskup i wnet odpowiedział gotową już lokucyą.

— *Gość w dom, Bóg w dom*, dobrze, z tém słowem, w imię tego Boga, którego oni snadź już przeczuwają, skoro gościnność szanują, pójdziemy do ludów tych w gościnę, do grodu ich i państwa wśród jezior. To słowo zaniesiemy im w podarku, jako skarb ich, i wyposażenie, i zapas, i błogosławieństwo, na dalszą ich całą drogę żywota.

— *Gość w dom, Bóg w dom* — powtórzył z wolna Withmar — piękna lokucya, dobrze brzmi, dobrze się składa. — I patrzył uczeń i towarzysz z miłością na zwierznika, którego kochał i którego mądrością był dumny. — Ale — żwawo dodał po chwili — cóż to jest za lud? Ja nic o nim nie wiem; czy wasza Przewielebność wie o nim co pewnego? Mieszka wśród jezior, więc to rybacka jakaś uboga osada? tém lepiej, do swoich pójdziemy!

Ansgary potrząsał głową:

— Wcale nie — rzekł — tu, do tego ludu zejść musimy, od niego już wodną drogą przez złączone jeziora i rzeczki dostaniemy się do wielkiej rzeki, téj oto Wisły, a tą Wisłą płynąc, najkrótsza już nam będzie droga przez Bałtyckie morze do Szwecyi...

— Prawda, najkrótsza; i co najważniejsza wyminiemy tak wszystkie owe wyspy korsarskie — mówił Withmar, zapatrzonej na mapę, a tymczasem Ansgary wsparł się znowu łokciem na stole, głowę oparł na rękę i mówił z wolna, patrząc w ziemie:

— Czy wiem co pewnego o tym ludzie, do którego chcę zejść po drodze, idąc do Szwecyi?... Nie... pewnego nie wiem nic, bom nic o nich w greckich ani w łacińskich historykach nie czytał, albo bardzo mało, tak, że naprawdę wszystko co wiem, zdobyłem od starego nędznego niewolnika, z którym często spotykaliście mię tu już w Hamburgu na rozmowie...

— A!... to wasza Przewielebność o tém rozmawiałeś z tym dziadem!... — krzyknął Withmar, bo

z dawna zwracały ogólną uwagę gawędy arcybiskupa z niewolnikiem Słowianinem, których to gawęd treścią nie mogło być nauczanie tajemnic chrześcijańskiej wiary, gdyż ten niewolnik z dawna był przez samegoż Ansgarego nauczony i ochrzczony i był jednym z najprzykładniejszych chrześcijan.

— Tak — odrzekł arcybiskup i wsparłszy się znów o stół lewą ręką, a zapatrzony w ową mapę, mówił zwolna, sam sobie oczywiście przypominając i gromadząc a układając niejako w pamięci wiadomości z trudem pozbierane, konieczne do zamierzonej podróży. — Tak, wywieźdzałem się najwięcej o tym kraju i ludzie od owego starego niewolnika i z jego opowiadań nabrałem ochoty lud jego odwiedzić. Tu oto wedle jego opowiadań, niedaleko rzeki Wisły, mają istnieć niezmiernie rozległe pola *) „tak grubą warstwą próchnicy wysłane, że drzewo rosnąć nie chce, a wsadzone wykrzywia się i karleje” ale pszenica dobrze tam się udaje. Pokolenia, na tych łąkach pszenicznych osiadłe, od pół tych Polanami są zwane. Jest zaś pomiędzy tymi ludźmi braterstwo wielkie; a to dla tego, że niema tam gór, któreby ludzi rozdzielały, i lęgły pyszną myśl panowania nad wszystkiem, co widne ze szczytów; a jak słońce wraz tam wszystko zarówno promieniami ogrzewa, tak samo gorąca miłość równa tam i łączy między sobą lud ów braterski. Mają wszelako Polanie ci tyle rozumu, iż wiedzą, jak to i pomiędzy najlepszą bracią, zwłaszcza gdy jest liczną, potrzeba koniecznie, aby zwierzchnictwo miał jeden, brat albo ojciec; więc i oni też mają takiego zwierzchnika, księcia. Ten książę, który obecnie panuje, zowie się Popiel, Chościk, czy Chostek, czy też Chasting; nie jestem tego nazwiska pewien, bo tam dziwne jest jak widzę wymawianie, wcale nie takie, jak u nas. Ten Popiel mieszka w mieście *Kruszwicy*, nad tém jeziorem, oto tu na tym pargaminie oznaczoném, zwaném *Gopłem* i dla tego tak się owo miasto zowie *Krusz* czy *Krugswica*, bo ten wyraz w języku Polan znaczy, iż tam *wkrąg światlano jest i jasno*. I tak ma być tam w istocie rozświecono i jaśniejąco wkoło na okolice, jak nigdzie indziej nie jest, bo srebrne fale jezior niezliczonych, rozlanych na niezmiernęj otwartęj przestrzeni, odbijają promienie słoneczne tak cudnie, jakby się w świetle tonęło. Stary niewolnik płacze na wspomnienie tych cudów, które może jemu się tylko tak cudnemi wydają, jak to zwykle bywa z człowiekiem na obczyźnie, gdy kraj swój rodzinny wspomina... A lud ten nie ma też wcale być tak bardzo dziki, jak to pomiędzy nami się mniema. *Kruszwica*

owa stołeczna ma być prawdziwie piękném miastem i bogatém, bo handlowném bardzo, równie jak i cała tamta okoliczna strona kraju, jeziorami okryta, gdyż te jeziora głębokie są, i licznemi zakrętami łączą się z sobą i z Wisłą, i spore statki przypływają tam z morza Bałtyckiego pod same mury Popielowego zamku. Zamek zaś ten jest potężny, warowny i mocny, wznosi się na małej wysepce wśród jeziora *Gopła*, tak, jakby wprost z fali wyrastał, podstawę ma z granitowej skały, a sam cały murowany jest z cegły. Że zaś tą samą drogą, którą tam napływają bogactwa, przybywają też czasem i rozbójnicy normandzcy, przeto jest zbudowana u zamku owego okrutnie potężna baszta, aby służyła za strażnicę przeciw rozbójnikom, bo z jej szczytu niezmiernie daleko widać najmniejszą łódkę na srebrnej wodzie jezior i rzek. Dla swoich zaś, aby się statki po wodnych obszarach mogły kierować, płonie nocą na szczycie tej baszty wielki kaganiec, na znaczną odległość widoczny. Największe też bogactwa książęce w tej baszcie są zabezpieczone. W razie również cięższego niebezpieczeństwa, schronić się tam mogą książęta i obrońcy grodu, a zamknąwszy się, długie nawet oblężenie wytrzymać, i z góry nieprzyjaciół razić, przy nader trudnym do owej baszty dostępie. Obronna ta wieżycyca ma mury u spodu grube na ośm łokci, a wysokość jej około siedmdziesięciu łokci wynosi *). Wszystko to i wiele jeszcze okoliczności i wiadomości o Polanach wiem od owego starego niewolnika, i przez niego polubiłem z góry, na niewidziane, ten lud spokojny i dosyć światły, jak się zdaje, i postanowiłem zanieść mu świętą naszą *dobrą nowinę* (ewangelią).

— A zatem idźmy! — rączo zawołał Withmar, biorąc swój kij podróży i znowu gotów do drogi, jak był już raz przed chwilą. Arcybiskup podniósł głowę, którą dotąd wspierał na dłoni i rzekł spokojnie, tak, jakby rzecz szła np. o przechadzkę w ogrodzie klasztornym, nie zaś o podróż grożącą męczeństwem:

— A no, to pójdźmy!

I w godzinę później, po załatwieniu przez arcybiskupa rozporządzeń na czas jego niebytności, i po krótkim lecz żarliwém poleceniu się opiece Boskiej, dwaj wędrowni apostołowie puścili się w zamierzonym kierunku, na południo-wschód, ku krajowi zamieszkałemu przez lud gościnnie, któremu na imię było: Polanie.

Szczegóły bliższe tej podróży nie są wiadome,

*) Baszta ta do dziś dnia istnieje, a chociaż górna jej część ma być nadbudowana za czasów Kazimierza W., to przecież spód jej z polnych granitów budowany, jest zdaniem znawców daleko starszytniejszy.

*) Ten ustęp i dalsze dane historyczne wzięte są z dzieła J. Żebkowskiego O Zabytkach Kruszwicy, Gniezna itd.

gdyż ich nie spisywali, zaznaczając jednakże najgłówniejsze wypadki, których też ślad pozostał w kronikach i w tradycji. Wiadomo zatem, że wędrówka była dość uciążliwa, nawet dla tak wytrwałych i mało potrzebujących podróży, ale niezbyt niebezpieczna, a to dla tego, że zupełne ubóstwo chrześcijańskich nauczycieli nie nęciło wcale rabusiów, jakich na żadnej drodze i w żadnym lesie nie brakło, a przytém i dla tego, że Ansgary nie zatrzymywał się nigdzie na dłużej, i nie narażał zbyt znacznie. Jakaś szczególniejsza miłość, natchniona mu łzawemi opowiadaniem niewolnika, ciągnęła go głównie do tych Polan gościnnych, osiadłych na pszenicznych łanach, wśród srebrnych jezior, dla których to Polan nawet umyślnie w podróż tę wyruszył.

Idąc, zbierał też podróżnik uczony przeróżne wiadomości o kraju, o ziemi i rzekach okolicznych. Pewnego ranka w chacie, w której użyczono im kąta do przespania dżdżystej nocy, dowiedzieli się, że jeżeli dobrze będą iść, to jeszcze przed wieczorem ujrzą Kruszwicę. Zatem śpieszyli, jakby świeżemi natchnieni siłami. A jednak, czy to mylnie wskazywano im drogę, czy też ta dłuższą była, niż się wskazującym zdawało, dość, że już noc zapadła i księżyc w pełni twarz okrągłą z obłoków ku ziemi wychylił, gdy dziwny, jakby czarodziejski widok olśnił oczy wędrowców.

Było to morze srebrzystego światła, zalewające całą przestrzeń pomiędzy niebem i ziemią, i ziemię i niebo same zarówno, a w tych falach srebrnego morza, którym ciekawie przypatrywał się księżyc, bujały w zaczarowanym jakimś tańcu napowietrznym smukłe i chwiejne postaci, owiane w szaty z mgły srebrnej. Wędrowcy stanęli zachwyceni, ale zaraz Ansgary rzekł, wskazując na najwyższą z owych tajemniczych postaci, płasających w srebrnym księżycu świetle, w szatach ze srebrnej mgły jezior uwitych:

— Oto Popielowa baszta strażnicza! — i wyciągając ramiona ku świetlanej okolicy, mówił arcybiskup dalej z wyrazem współczucia:

— O ludu, bratnią gościnnością słynący! ludu serdeczny! Gość w dom, Bóg w dom twój wchodzi! ugośćże Go! a wyznawaj Imię Jego, i broń tego znaku Jego na wieki! W potęgę tobie wzroś! a potęgi tej póty, póki tego Gościa w sercu twojem, co daj Panie na wieki, amen!

Przy ostatnich wyrazach, chrześcijański poseł wyjął z zanadru krzyż mały i pobłogosławił nim świetlaną, rozciągającą się szeroką krainę. Potém ukląkłszy i podziękowawszy Panu za szczęśliwe do celu doprowadzenie, dwaj wędrowcy legli swobodnie na tylko co zżętym pszenicznym łanie, i rozpatrując się z zachwytem w dziwną grze

światła, i cieni, i mgły, i fal niezliczonych jezior, zasnęli wkrótce snem sprawiedliwych a znużonych.

O wschodzie słońca, zbudzeni niezmierną jasnością, powstałi ze snu podróżni, i po modlitwie, rozglądali się, oswajając z cudnym widokiem okolicy, która teraz się złocistą zdawała od odbitych w falach promieni słonecznych, jak w księżycowych promieniach srebrną się zdawała pośród nocy. Niezadługo poczęły napływać zewsząd wody i łodem liczne, a świątecznie strojone i wesołe tłumy ludu, dążąc do Kruszwickiego Popielowego zamku.

Wędrowcy wdali się z ludem w rozmowę, gdyż, jak zawsze tacy chrześcijańskiej wiary posłańcy, obeznali się byli wprzód z językiem ludu, do którego szli w Imię Boże przemawiać. Dowiedzieli się więc, że Popiel księżę wyprawiał dnia tego wielką książęcą ucztę dla ludu, na uczczenie uroczystych pierworodnego syna postrzyżyn *). Radzi z takiej sposobności poznania i księcia i ludu gromadnie, Ansgary i jego towarzysze wmięszali się w tłumy, podążając wraz ze wszystkimi na ucztę. Weszli też ze wszystkimi w potężne bramy zamkowe. Po chwili przybiegł z zamku zadyszany dowódca straży, pytając, kto oni są i czego szukają na książęcym zamku?

— Jesteśmy ubodzy podróżni, szukamy gości i sądziliśmy, że możemy wejść ze wszystkim ludem na książęcą ucztę — odpowiedział Ansgary; a na to dowódca straży, odwracając oczy, jakby zawstydzony i spoglądając także w okna zamkowe, odrzekł z westchnieniem:

— Nie, mili ludzie, po szatach waszych i po włosach, równie jak z mowy, widać, że cudzoziemcy jesteście, a cudzoziemców nigdy się u nas na zamek w głąb' nie wpuszcza, aby snadź przepatrzywszy środki obrony, a sposoby zamykania, nie zanieśli tych wiadomości nieprzyjaciółom, a ci, upatrzwszy chwilę, nie podpadli nas, a zamku nie wzięto. Przeto już takie ogólne jest u nas rozkazanie, że cudzoziemca się na zamek nie puszcza, choćby niektórzy i najprzyjaźniejszy człowiek był.

Na takie słowa, widocznie wstydzącego się ich dowódcy straży, cofnęli się natychmiast spokojnie dwaj chrześcijanie napowrót za bramę, a Withmar rzekł do zwierzchnika swego:

— A to dziwne, że wypędzają nas na pierwszym wstępie za bramy, na tej słynnej z gościnności ziemi, której wasza Przewielebność niesie z tak daleka błogosławieństwo, zawarte w tak pięknej lokucyi: Gość w dom, Bóg w dom!

*) *Postrzyżyny*, pogański obrzęd przystrzygania włosów na głowie u dzieci, a na brodzie u dorosłych, był wielce uroczystym u ludów północnych.

— Bóg z nimi! — smutno rzekł Ansgary, odchodząc.

Withmar, przywykły już umyślnie od niejakiego czasu do wyrażania się w miejscowej mowie, i powyższe słowa do zwierzchnika swego w tejsze mowie powiedział, a więc lud tłumnie ich otaczający zrozumiał je także. Był zaś lud ten już od początku owego zajścia bardzo wzruszony, i równie jak strażnicy zamkowi zawstydzony tém, co cudzoziomców spotkało. Słowa Withmara przeto spotęgowały jeszcze ogólne to wzruszenie. Szmer powstał coraz głośniejszy, choć tłumiony, w którym wyraźnie można było dosłyszeć tysiącem głosów powtarzane Withmara wyrazy:

(*D. c. n.*).

Nie wszystko złoto, co się świeci.

OBRAZEK SCENICZNY,

Przez **M. . . a.**

OSOBY.

NATALIA.

ELŻBIETA.

JADWINIA.

MATYLDA (*służąca Natalii*).

(*Salonik wiejski; południe; Natalia, w porannym stroju bardzo wykwiutnym, niespokojnie a pocichu chodzi, zaglądając i nad słuchując u drzwi i okien pozastłanianych storami; puka nie do drzwi; panna Natalia cicho podchodzi, pytając:*

NATALIA.

Kto tam puka?

GŁOS ZA DRZWIAMI.

To ja, pani!

NATALIA (*odsuwa zasuwę*).

I cóż, niema ich? zabrani?! (*załamuje ręce*).

(*Matyllda służąca wbiega i zasuwą drzwi za sobą, zdyszana, przerażona, ubrana bardzo strojnie*).

MATYLDA.

Dwór obiegłam z każdej strony,

Izby, kuchnie i salony,

Nic, nic, pani! pustka głucha,

Niema i żywego ducha!

(*Stoją chwilę obłite z założonymi rękami, patrząc wzajem na siebie*).

NATALIA.

Co to znaczy? Jak być może,
Aby na wsi, w dużym dworze,
Bardzo ludnym jeszcze wczora,
Gdym przybyła tu z wieczora,
Nagle, z rana zbrakło ludzi,
Gdy wczorajszy gość się budzi?

Jedno tylko przypuszczenie,
Dziwne, prawie jak marzenie,
Pustkę taką mi tłómaczy,
Jakieś najście, napad raczej,
W którym sprawni rozbójnicy
Wzięli wszystkich, od klucznicy
Aż do małych dzieci z domu,
By nie było skarżyć komu.
Ale czyż to jest możliwe?...

MATYLDA.

Och! rozboje wszak straszliwe
Zagęściły się w tych czasach!

NATALIA.

I to prawda! w miastach, w lasach,
Wszędzie dzisiaj są rozboje.
O nieszczęsne krewne moje!

(*Rzuca się płacząc na kanapkę; Matyllda siada jej u nóg, płacząc także*).

MATYLDA.

Pani płacze za paniami,
A Bóg wie co będzie z nami...

NATALIA (*zrywa się*).

Prawda! same dwie, o Boże!
W zrabowanym pustym dworze!

MATYLDA.

Ho ho! cóż się to nie dzieje,
Jakie nieraz przejść koleje
Delikatna musi dama,
Gdy przypadkiem, jak my, sama,
Pozostawszy bez opieki,
Na pustyni gdzieś dalekiej,
Drżąc w przestrachu strasznej męce,
Rozbójnikom wpadnie w ręce!
Gdy skoczywszy do niej skrycie,
Krzykną „Pieniądz! albo życie”!
I do piersi jej, niestety,
Przytkną wszyscy pistolety!
A tych zbójców jest dwunastu!
Groźnych nieraz nawet miastu,
I zabrawszy portmonetki,
Broszki, szpilki, bransoletki,
I zegarki i dewizki,
Zaprowadzą ją do nizkiej,
Strasznej, dymnej, swęj jaskini
I oddadzą gospodyni,
Matce swojej, czarownicy!
Która pańskiej tej dziewicy
Każe nosić drwa i wodę,
Aby zniszczyć jej urodę,
Gnębi, dręczy ją przemocą,
W ciężkiej pracy dniem i nocą!
NATALIA (*z niecierpliwością, w pół do siebie*).

O!.. w tych nieszczęść strasznej matni
Najstraszniejszy punkt ostatni!

MATYLDA (*rozczulając się własnymi słowy*).

W zgrzebnój chodzić ma sukience,
Pracą niszczyć białe ręce,
Pleć, opalać każe baba!
A gdy dama mdleje słaba,
To jój zamiast, czarownica!
Eau-de-Cologne skropić lica,
Zlewa całą konwią wody,
Takięj zimnėj, och! jak lody!

(*wstrząsa się*).

Młoděj damie, miast jedzenia,
Czarownica bez sumienia,
Jak zwierzęciu, niby paszėj,
Chleb i wodę da, i... kaszėj!
Taką grubą, że ziarneczka
Nie chcą damie wejść w usteczka!

NATALIA (*chodząc niecierpliwie po pokoju*).

Jeśli, czego brońże Panie!
Tu istotnie jest porwanie,
To i jakże, jakim cudem,
W domu napelnionym ludem,
Mogło się to stać tak cicho,
Jak przez drzwi przymknięte lichy?
Ty tam śpiąca, ja w tēj sali,
Kiedy ich tam porywali,
Mogłyśmy nie słyszcć wcale?
A złoczyńcy, tak zuchwale
Napadając dwór obszerny,
Z jakiejż łaski miłosiernej
Zostawili nas w spokoju,
Gdy z mieszkańców innych roju
Nie zostało ani duszy?
Nic a nic, jak w leśnej głuszy!
Niepojęte, straszne dziwy!
Biadaż Lizi nieszczęśliwėj,
I Jadwini i mnie samėj.

(*Spogląda w okno*),

Szczelnie zwarte drzwi i bramy...
Idź-no zobacz, czy na zamki?..

MATYLDA (*przerażona*).

Pani! jak ja dotknę klancki,
A złoczyńca z drzwi wskoczy,
Chustką mi zawiąże oczy,
By mię uprowadzić w knieje!..
Ja się boję, ja zemdleję...

Z drogi spałyśmy jak drewno,
Nie wiedzieli zbójcy pewno,
Żeśmy wczoraj przyjechały,
Nic też tu w tēj salce małėj
Do rabunku ich nie nęci,
Więc nas tak tu mimo chęci
Zostawili śpiące w ciszy!

NATALIA.

Wołaj! może kto usłysz...

Przecież wieś jest niedaleko
Przecież szosa tuż nad rzeką,
Śpieszmy, bo się lękam nocy.
Otwórz okno, krzycz pomocy!

(*Wskazuje Matyldzie gdzie jedno okno, sama biegnie do drugiego, Matyllda ją wstrzymuje*).

MATYLDA.

Pani! cicho, cicho, ciszej!
Nuż rozbójnik nas usłysz!
Może oni tu gdzie blisko
Mają swoje legowisko!

(*Natalia zatrzymuje się przerażona, słychać otwierające się drzwi jedne i drugie i szelest zbliżających się kroków; Natalia i Matyllda odskakują z miejsca z krzykiem słunionym; drzwi otwierają się, wchodzi Elżbieta, której Natalia rzuca się na szyję z okrzykiem radości*).

NATALIA.

Lizia! jesteś! więc puścili
Rozbójnicy cię w tēj chwili,
Czy też byłaś gdzie ukryta?

ELŻBIETA (*zdziwiona*).

Co?

NATALIA.

Gdzie byłaś?

ELŻBIETA.

Koło żyta.

NATALIA.

Żyta? żyto?... niby w polu?..

ELŻBIETA..

Tak, i wianek ci z kąkolu
Niosę ot na pokazanie,
W jakim żytko stoi wianie.

NATALIA.

A gdzież wszyscy domownicy?

ELŻBIETA.

Jedni poszli do pszenicy,
Drudzy ze mną też do żyta;
Słońce z chmur jaskrawo świta,
Kto żyw, wszyscy żną na łanie,
Śpieszyć trzeba co sił stanie.

MATYLDA (*wtrącając się do rozmowy*).

No, to ludzie, lecz osoby
Gdzie są przecież z garderoby?

NATALIA.

A dom pusty?

ELŻBIETA (*śmiejąc się*).

Tak, jak bywa

Często na wsi w śpieszne żniwa,
Bo to wiejskie są zapusty;
Nie zupełnie zresztą pusty
Jest i dom, choć pustym zda się;
U krów trzeba być w tym czasie,
Zioła suszą się w suszarni,

Sery robią się w mleczarni,
 I owoce też niektóre:
 Te do piwnic, te na górę,
 Inne idą już i w słoje,
 Bo wyroby biorą moje
 Jak najchętniej miejskie składy,
 Tak, że trudno dać i rady,
 By wystarczyć zamówieniom,
 I konserwom i smaženiom.
 A w ogrodach, a w cieplarni,
 A w karmnikach i w ptaszarni,
 U gołębi, u zajęcy,
 Wszędzie rąkby trzeba więcej,
 Choć i tak tu dosyć ludno.
 To też dziwić mi się trudno,
 Że próżnować ja osobie
 Nie dam nawet w garderobie;
 Zwłaszcza, gdy tu w państwie mojem
 Mały kłopot jest ze strojem.

NATALIA.

Lecz kucharki, czy kucharze?...

MATYLDA.

Ognia nawet w samowarze,
 W kuchni całej ani śladu?

NATALIA (*żartując*).

Czy nie będzie tu obiadu?
 Czy nie bywa i śniadania?
 Tak już praca cię pochłania.

ELŻBIETA (*ze śmiechem*).

Pani ty z miejskiego świata,
 Koło drugiej, pośród lata, (*wskazuje zegar*).
 O śniadanie któż tu pyta?

MATYLDA (*wpół do siebie*).

Więc się jada skoro świta?..
 Zwyczaj dziwny i niezdrowy.

NATALIA.

W waszej porze obiadowej
 Będę zatem jeść śniadanie.

ELŻBIETA (*parska śmiechem*).

Więc poczekaś chyba na nie
 Aż do jutra w ciężkiej biedzie,
 Bo my już i po obiedzie!

MATYLDA.

Co?...

ELŻBIETA.

A nawet tam na łanie
 Już na nowo było spanie,
 I już wstają do roboty.

NATALIA.

Co za trudy! za kłopoty!

MATYLDA.

Co za praca od świtania!
 Jabym w trzy dni z niewyspania

Rozchorować się gotowa,
 Panią pewno boli głowa,
 Bo za rano my dziś wstały;
 Mnie już boli w skroni całej.

NATALIA.

Mniejsza tam i z bólem, kiedy
 Niema w domu żadnej biedy,
 Bo doprawdy... jam myślała..

ELŻBIETA (*ściskając ją*).

Ah ty mieszczo, śpioszko mała!
 Powiedz, co potrzeba tobie,
 Zanim wrócą sługi obie,
 Ja przyrządzę ci śniadanie!

NATALIA.

Ty?! Niech skończę wprzód ubranie,
 A tymczasem... (*patrzy na zegarek*) wpół do drugiej,
 Może wrócą twoje sługi.

ELŻBIETA.

Jeśli sądzisz, że w śniadaniu
 Nie podołam wymaganiu,
 Niech Matylda mię oświeci!

MATYLDA.

Ależ ogień któż roznieci?!
 Byłam w kuchni, tam popioły!

ELŻBIETA (*patrzy na nią zdziwiona*).

Czyż tak wielkie to mozoły?

NATALIA.

Niech Matylda nie rozpala!
 Rąk nie psuje i nie wala!
 Bo gdy chesze szorstka ręka,
 To jest bardzo przykra męka!
 (*dotyka swych włosów*).

ELŻBIETA (*śmiejąc się*).

Ależ ja nic nie chcę od niej,
 Tylko siadłszy najwygodniej
 Objaśnienia niech mi daje,
 Całodzienne twe zwyczaje
 Niech opowie wszystkie szczerze.

NATALIA.

Tak!... a któż mię tu ubierze?...

ELŻBIETA.

Toś ty taka śmieszna dama,
 Że się nawet ubrać sama
 Nie potrafisz bez służącej?
 Zwyczaj stary i nużący,
 Starczyć sobie pierwsza cnota!

NATALIA.

Czy z swawoli ta ochota
 Twa do pracy? czy też może
 Co z majątkiem twym, broń Boże,
 Niedobrego ci się stało?
 Powiedz wszystko! Dolą całą

I majątkiem, wszak mam wiele,
Wszystkiem z tobą się podzielię!

(ściska *Elżbietę*).

ELŻBIETA.

Nie, siostrzyczko! jestem szczerą
Wszak jak twoje, u bankiera
Sumy nasze są złożone;
Nie jesteśmy zubożone,

ELŻBIETA.

Nie, siostrzyczko,
Jam na prawdę ogrodniczką,
Własne moje tu ogrody
Mogą stanąć na zawody;
A nasz sąsiad, znawca stary,
Który prawie, że bez miary
Na wykwintne kwiaty łoży,



K O L I B R Y (str. 604).

Tylko nasza matka droga,
Chociaż wcale nie uboga,
Wychowała nas na życie
Z przekonania pracowicie.
Choć to u was za nic liczą,
Przeszłam szkołę ogrodniczą.

NATALIA.

Dla zabawki?

Ceni moję pracę drożej,
Niż belgijskiej cne okazy,
Które z trudem kilka razy
Sprowadzane do cieplarni,
Wyglądają stokroć marniej,
Niż te, które jam chowała!
Lecz z tém mniejsza, moja mała,
(całuje w czoło *Natalię*).

Zajmijże się tylko żwawo
Toalety wielką sprawą,
Ja powrócę tu za chwilę.
(*Ochodzi*).

MATYLDA (*czesząc Natalię*).

Pani, jeśli się nie mylę
My tu długo nie wytrwamy.

NATALIA.

Czemu?

MATYLDA.

Ależ dla mnie samój
Tu wygody żadnej niema,
Jakże pani tu wytrzyma?
Z udawaniem w takiej biedzie
Niedaleko się zajedzie.

NATALIA (*urazona*).

Z udawaniem? Jakiem znowu?
Czy nie wierzysz memu słowu?
Siostry były nasze matki,
Więc jednakie po nich spadki
Obie wzięłyśmy z Elżbietą.
Śpiesz się dzisiaj z toaletą.
I jej sumy u bankiera;
A jeśli się poniewiera
Lizia tu na małej wiosce,
Jeśli życie pędzi w trosce,
To z tej manii ogrodniczej,
Lecz na zyski dziś nie liczy,
Bo tu wielkie są nakłady,
Nie wiem nawet jak da rady!

MATYLDA

Nie wiem; w głowie się nie mieści
Dobrowolny trud niewieści.

Pani za złe niech nie bierze,
Że co czuję wyznam szczerze.
Praca jest dla prostych ludzi,
Kto bez musu nią się trudzi,
Choć pozory ma pańskości,
Niema jej do szpiku kości.

Nikt porządny w miejscu takim
Nie trwa, chyba jest żebrakiem!
Proszę, niechaj wierzy pani,
Że dla tego to ja dla niej
Przywiązanie mam bez granic,
I opuścić nie chcę za nic
Już od dwóch lat pani domu,
Chociaż łatwiej mi niż komu
Znaleźć miejsce nie złe wcale,
Bo choć sama się nie chwale,
Przecież wiedzą to sąsiedzi,
Jak ich miły sąsiad siedzi;
Jak się księżna stara o mnie,
Jak już dawno i ogromnie
Pragnie dostać mię hrabina,

Lecz to nowa jest rodzina,
Więc nie pójde tam z ochotą,
Bo nie wszystko to już złoto,
Co się świeci, wiem przez skórę,
Co są warte damy które,
Kto prawdziwy jest pan z panów!

NATALIA (*śmiejąc się*).

Bredzisz; sama się zastanów
Nad własnymi twemi słowy,
Wszak wypada z twojej mowy,
Żem ja panią z panów przecie,
A zarzucasz coś Elżbiecie,
Która jest mi krewną blizką,
Jedno ze mną ma nazwisko,
I jednaki ma majątek.

MATYLDA.

O! majątek i początek,
I jednakie stanowisko,
I krewieństwo i nazwisko,
To nie wszystko, o! nie wszystko!
Nie jest żadne to schlebianie,
Bo choć w niższym jestem stanie,
Przecież każdy o mnie powie,
Że mam w sercu to, co w mowie;
Otóż, kto zna panią blisko,
Ten nie przez: wzgląd na nazwisko
Ani też na stanowisko,
Ani nawet na majątek,
Ni rodziny jej początek,
Przyzna, kto ma oczy, uszy,
Że ma pani pańskość w duszy!...
Tę szlachetną, coraz rzadszą,
Co choć ludzie nań nie patrzą,
Przecież zawsze, tu i wszędzie,
Wielkich panów cechą będzie!

NATALIA.

A to papla, to skaranie!
Skończysz ty dziś to czesanie?
Daj mi broszę, tamtą, nie tę...
Nie chcę... weź tę bransoletę,
Już za długo grat ten służę,
Niech nie widzę tego dłużej.

MATYLDA.

O dziękuję! (*zapiąca sobie bransoletę*).

NATALIA (*kończąc strojenie się*).

Lizia idzie!

MATYLDA.

Nie; więc nie są tutaj w biedzie?

NATALIA.

Jedno jest wśród nas różnicą,
Że Elżbieta zagranicą
Ma siostrzyczkę gdzieś w zakładzie,
Gdzie się rozum w głowę kładzie,

Tu zaś drugą ma malutką,
Która uczy się cichutko
Z dzieciakami w wiejskiej szkole.

MATYLDA.

Ha ha ha ha! więc swawole
Jakieś pań tych się czepiły,
Ze pracują ponad siły!

(*Elżbieta wchodzi ostrożnie, niosąc tacę pełną naczyń ze
śniadaniem Matyllda jej nie widzi*).

Że się uczą z wieśniakami,
Ale, mówiąc między nami,
Ja im tego nie pochwalę;
Nie po pańsku to jest wcale,
Pany w pracy! to nie pany!

Ah!... (*sposzyczyłszy Elżbietę, wybiega zmieszana chwytając karafkę*).

ELŻBIETA (*postawiwszy tacę*).

A to próżniak zawołany!

NATALIA.

Ech to złota jest dziewczyna,
Pokojówka z niej jedyna;
Do teatru by się zdała,
Taka śmiesznie poufała,
Tak zabawny do roboty
Wstręt ma, jakby do niecnoty,
Bo koniecznie jej się zdaje,
Ze to pańskie są zwyczaje
W wielkiej wzdardzie mieć robotę!

ELŻBIETA.

Więc nie wszystko tam w niej złote,
Co się świeci. Pójdź kochanie,
Już przyniosłam ci śniadanie:
Ser, herbata, jaja, szynka,
Takie dobre, że dziewczynka
I angielska jeść je może;
Jedz, Angielki wszystkie hoże;
Gdy chcesz być z francuzka bladą,
Masz tu ciastka z czekoladą,
Co na chwilę barwi lica,
Ale w gruncie nie nasycą;
Gdy chcesz krągłą być Niemeczką,
Masz tu z kawą cienkie mleczko;
Cienka kawa z mlekiem rzadkiem,
To się zowie kawa z kwiatkiem,
Bo przez kawę malowanki
Widać na dnie filiżanki;
Jeśli polską wolisz kawę,
Co ma w świecie swoją sławę,
Oto gęsta, jak śmietana,
Po staremu gotowana;
Do niemieckiej cienkiej kawy,
W dopełnieniu jej przyprawy,

Powinnyby z racji wszelkiej,
Być w *mundurach* kartofelki!
Lecz z tём kłopot byłby długi.
Zaś do polskiej kawy drugiej,
Tam pachnący oto leży
Słodki z masłem chlebek świeży.
Jest też dawno zaniecbanie
Ze śmietaną piwo grzane;
A jeżeli czołobitność
Twą odbiera starożytność,
Dla gospodyń dawnych chwały,
Mogę przynieść żur wspaniały!

(*rzuca się na krzesło śmiejąc się*).

NATALIA (*śmiejąc się*).

O nie, nie, nie! o, dla Boga,
Dosyć tego, Liziu droga!
Mędrzec, znawca starych kości,
Smak ma do starożytności;
Piwo? fe! to rzecz niemiecka
Ja nie jestem już od dziecka
Wielbicielką tój niemczyzny.
Kwiat na łące lubię żyznęj,
Lubię kwiatów mieć dostatkim,
Lecz nie cierpię kawy z kwiatkiem!
Jednak ponad wyraz wszelki,
Lubię świeże kartofelki,
Cóż gdy niema ich tu właśnie!

ELŻBIETA (*żartem udając rozpacz*).

A więc sława moja gaśnie,
Sława dobrej gospodyni,
Która gustom zadość czyni!

NATALIA (*dalej opatrując naczynia na tacy*).

Czekoladę i ciasteczka
Niech francuzka je dziewczeczka,
Nie zaprzeczam, że to smaczne,
Lecz wnet rzucę, gdy jeść zacznę
Bo to mdłe jest jak niektóra
Modna dziś literatura;
Modne też surowe jajo,
Irokiezy niech jadają!
Szynka pyszna! cud-herbata,
Po wszelakich stronach świata,
Z *dżinem* rozmieszany w warze,
Niech ją jedzą marynarze,
Rzecz posilna, trwała, zdrowa,
Istna strawa okrętowa,
Kiedy morze gniewem parska,
To rzecz czysto marynarska!

ELŻBIETA.

A więc... tobie na śniadanie,
Nic się widzę nie zostanie;
Jak rozbitek więc o głodzie..

NATALIA.

Nie! ja kocham się we Wschodzie!
Na arabski gust się piszę
Lubię to, co cni derwisze,
Kawę, lecz na sposób wschodni,
Tak, że mędrzec mędrszy od niej,
Ta zaś jeśli się nie myłę
Nawet znawcę złudzi mile.

(bierze kawę piję i je).

JADWINIA *(wbiega z telegraphem).*

Z miasta przyszło to w tój chwili.

NATALIA *(bierze telegram).*

Cóż tak za mną pogonili...

ELŻBIETA *(do Jadwini, pieścąc ją).*

Już ze szkoły?

NATALIA.

Zkąd tak rano,

Już telegram mi przysłało...

MATYLDA *(n. s. wszedłszy za Jadwinią).*

Dziwne tutaj obyczaje,
Panna sama list oddaje!

NATALIA *(czytając).*

Bankier Goldman... Wielki Boże
Zbankrutował, znikł!...

MATYLDA *(n. s. odchodząc na bok).*

Za morze

Powędrował nasz majątek!
Trzeba starać się o kątek;
Z moją małą zły interes,
Będzie teraz u niej skweres.

*(Natalia upuszcza telegram i pochyła się na kanapkę melle-
jąc; Elżbieta podbiega do niej i cuci ją).*

ELŻBIETA.

Naci! duszko! siostró droga,
Cóż się dzieje! cóż u Boga?
Miej odwagę, wszak na świecie
Gorsze nieraz, moje dziecię,
Dopuszczenie bywa Boże!

NATALIA.

Nie, już gorsze być nie może!

ELŻBIETA.

Och... a śmierci?... a choroby?...
A nadziei smutne groby...
Żal unosi cię w tój chwili,
Ale z czasem Bóg wie czyli
Nad czem jęczysz w gorzkiem słowie,
Na moralne twoje zdrowie
Ci nie wyjdzie...

NATALIA.

Sztydzisz ze mnie!

ELŻBIETA.

O, nie gniewaj się daremnie,

Tyś jest łatwa do urazy,
Lecz jam trudna do obrazy
Teraz, zwłaszcza dziś od ciebie;
Razem będzie nam jak w niebie,
Bo ty musisz nam rodzoną,
Ukochaną, rozpieszczoną,
Od tój chwili być siostrzyczką,
Ufaj Bogu, otrzyj liczko!

(ściska Natalię). (D. c. n.).

K O L I B R Y .

Dawniej już opowiadaliśmy wam, kochani czytelnicy, o tych przeslicznych ptaszętach, właściwych jednej tylko części świata, Ameryce. Nie będziemy tych szczegółów powtarzać, a dając wam rysunek, który przedstawia gniazdko kolibrów, przytoczymy ciekawy ustęp z opowiadania pewnego angielskiego przyrodnika.

„Wybierając się do Ameryki, mówi ten autor, postanowiłem sobie wszelkich starań dołożyć, aby przewieźć kilka kolibrów do Europy. Przybywszy na miejsce, zaraz się zabrałem do dzieła. Piękne ptaszyny dawały się chwycić z wielką łatwością, używałem do tego zwyczajnej siatki na motyle. Nieraz zdarzało się, że kolibr, zamiast uciekać, gdy tę siatkę rozkładał, podlatywał bliżej, wiedziony ciekawością i w jednej chwili już był w mojej mocy. Często śliczne stworzenie zawieszono w powietrzu tuż przedemną, trzepocąc skrzydełkami, zaglądało mi prosto w oczy.

Ale trudniej było daleko, pochwyciwszy kolibr, donieść go do domu. Najczęściej mały więzien, wcale nie skaleczony ani zgnieciony, ginął w drodze, nim się do mieszkania swego dostałem, a w najszcześniejszym razie żył w klatce do następnego dnia. Trudno było zrozumieć, co je właściwie zabijało. Biedne ptaszki padały zwykle nagle z zamkniętymi oczyma i już było po nich. Gdy je brał ostrożnie do ręki, ożywiały się na chwilę, poruszały pięknym łebkiem na wszystkie strony, otwierały oczęta, stroszyły lśniące piórka, potem rozkładały skrzydełka i bez żadnych oznak cierpienia ginęły w moich rękach.

Raz jednak udało mi się utrzymać dłużej przy życiu dwa młode kolibry, ale nie zamknąłem ich w klatce, tylko pozwoiliłem im bujać swobodnie po pokoju, opatrzywszy okno siatką. Ptaszyny te wcale nie były dzikie, zbliżały się do mnie, siadały mi nawet na ramieniu i na palcu. Przynosiłem im kwiaty, sadowiły się na nich chętnie i szperały w kielichach. Umieściłem w pokoju kilka pięknych bukietów, a moje kolibry przelatywały od jednego do drugiego, szukając widocznie w kwiatach pokarmu, drobnych muszek, ukrytych w głębi i słod-

kiego soku. Były bardzo wesołe i ożywione, ogłądały wszystko ciekawie, siadały na sprzętach i latały z miejsca na miejsce. Często słyszałem w powietrzu lekkie uderzenia ich dziobków, zapewne chwytaly drobne muszki w locie.

Postawiłem na stoliku małą miseczkę z syropem i wetknąłem weń parę kwiatków, aby zwabić kolibry, a gdy zakosztowały słodocy, która im smakowała widocznie, przylatywały potem do miseczki, chociaż z niej kwiaty wyjąłem. Na noc ptaszęta siadały na sznureczkach, które przeciągnąłem dla nich w powietrzu, a o wschodzie słońca zrywały się i przez cały dzień wesoło latały po pokoju.

W parę tygodni jednak jeden z moich kolibrów nagle, bez żadnej przyczyny padł w kącie pokoju i zginął, drugi zaś w kilka dni później wymknął się przez drzwi otwarte i znikł mi z oczu w jednej chwili.

Później miałem znów aż trzy kolibry w pokoju; przyswoiły się doskonale, piły syrop z miseczki, siadały na kwiatkach, a jeden tak się zemną zpofalił, że się od niego opędzić nie mogłem. Siadał mi na głowie, na nosie i na brodzie, wkładał mi dziobek swój w usta i ślinę moją zjadał. Zabawny ten ptaszek szukał uparczywie pokarmu w moich ustach i pakował mi dziobek pod język i pomiędzy zęby. Chcąc mu dogodzić, brałem w usta odrobinę syropu i wabiłem go wołaniem, które wkrótce nauczył się rozumieć. Zrywał się natychmiast i pędem do mnie przylatywał. Każdy z ptaszków obrał sobie osobne miejsce na sznureczkach, rozciągniętych w pokoju i tam zawsze sypiał i odpoczywał, nie przeszkadzając towarzyszom, powracał zawsze na swoje ulubione miejsce i nawet się z niego opędzić nie dawał. Zauważywszy to, wypatrywałem potem w lesie gałązki, na których siadały kolibry i przekonałem się, że co wieczór powracały na nocleg, do tegoż samego miejsca i mogłem tam na nie czatować.

Czasem moje ptaszęta staczały z sobą walki, odpędzały się wzajemnie od miseczki z syropem, a nawet bez żadnego powodu napadały jeden na drugiego. Latały po pokoju tak swobodnie, jak w lesie. Trudno sobie wyobrazić coś piękniejszego, jak lot kolibra. Prześliczna ptaszyna przebija powietrze z szybkością strzały, to znów zatrzymuje się nagle, jakby zawieszona na niewidzialnej nici i na jednem miejscu porusza skrzydełkami, a to drganie jest tak szybkie, że widać tylko migający cień dokoła.

Doszedłem nakoniec do tego, że miałem w mieszkaniu dwadzieścia pięć kolibrów żyjących. Nie wszystkie z nich jednakowo się zachowywały w niewoli; jedne były wesołe i ożywione, inne znów

ponure i nadęte. Karmiłem je kwiatami, przynosząc coraz świeże, ażeby im nie zabrakło owadków; umiały też łowić i w powietrzu przelatujące muszki i pożerały chciwie te, które pogrzęzły w miseczce z syropem.

Nakoniec wybrałem pięć najzwawszych kolibrów i postanowiłem je przewieźć do Europy. Powoli je przyzwyczailem do klatki, w której umieszczałem kwiaty i syrop, ażeby je zwabić, a raz wieczorem wsadziłem tam jednego po drugim i drzwiczki zamknąłem, nie bez obawy jednak, chociaż liczyłem na to, że gdy je sen zmorzy, nie spostrzegą się i przywykną do swego więzienia. Tak się też stało, z rana spostrzegłem z radością, że moje ptaszki wesoło uwijają się po klatce, zjadają syrop i zdają się zadowolone ze swego losu. Ale radość moja nie długo trwała. Po tygodniu padło na raz dwa kolibry, reszta zginęła także po dniach kilku i zamiary moje spełżyły na niczem”.

Innemu podróżnikowi udało się jednakże przewieźć do Anglii żyjącego kolibra, nie długo jednak się nim cieszył, gdyż ptaszek zginął na drugi dzień po przybyciu na ziemię europejską. Dotąd więc nigdzie, w żadnym ogrodzie zoologicznym, gdzie różne zamorskie ptactwo hodują, nie zdołano przyjść do posiadania żyjących kolibrów.

O WŁASNÉJ SILE.

Powieść
przez M. Kr.

(Dokończenie).

Takim sposobem otworzyła się przed Władkiem przyszłość upragniona dla niego. To też byłby teraz naprawdę szczęśliwy, gdyby nie główna sprawa, dla której do Warszawy przybył, a która nie postępowała wcale. A nawet nie bardzo i mogła teraz postępować, bo Władek całe dni zajęty przy kamieniach, w niedzielę tylko biegał po mieście, już tylko po kościołach najwięcej matki szukając. W jego zawodzie wiodło mu się dobrze; prędko bardzo z pomocnika najmłodszego chłopca został pomocnikiem starszego, a wkrótce i tego miał wyprzedzić. Stach uczeń nie mieszkał z nimi i nie co dzień nawet przychodził, lecz tylko gdy tego robota wymagała. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ta okoliczność, że Władek, mając być zapewniony na teraz i otwarte pole do nauki, nie miał przecież ani nadziei zarabiania. I nie mógł mieć w warunkach tak postawionych, jak je profesor postawił. Milczał i pracował całą duszą; ale

przeróżne zamiary snuły mu się po głowie. Tak minęło parę tygodni, aż jednej niedzieli, wchodząc z rana po trzech wschodkach do piekarskiego sklepiku po bułkę, zanim sklepik jak zawsze w niedzielę na resztę dnia zamknęto, stanął na progu, podał cztery grosze i brał podwójną bułkę, tak zwaną *parkę* z ręki podającej ją sklepowej, gdy widząc, że ta ręka nieruchoma bułki owęj nie puszcza, podniósł oczy na sklepową i krzyknął: — to była jego matka. Był taki zmieniony, że rodzona matka w pierwszej chwili zmartwiła tylko wpatrując się w niego, a nie była pewną, że to on. Dopiero gdy krzyknął, rzucając się do nięj przez kontuar jak szalony, rozsypując kosze z pieczywem, ona przycisnęła go w milczeniu do piersi, drżąc cała.

Przeciągły jęk dał się słyszeć za szafami z pieczywem, ograniczającymi ten maleńki niby-sklep, od reszty niedużej izby, tworząc takim sposobem dwie ciupki. Matka i syn zadrżeli, rzczętli ramiona, i spojrzeli sobie w oczy; ona położyła tylko palec na ustach, a on głową skinął, już on czuł, że to ojciec jęknął. A tymczasem z za szaf znów dał się słyszeć z przeciągłym jękiem wyrzeczony wyraz:

— Pić!... — Matka, w której Władysław także sercem tylko synowskiem swoją dawną młodą i piękną mateczkę poznawał, pośpieszyła za szafy, uchylając firankę, przez którą za szafy wejść było można.

Władysław uchylił firankę ostróżnie i patrzył na ojca, a łzy mu gdy tak patrzył biegły cicho po twarzy, bo ojca trudniej jeszcze niż matkę mógł poznać.

Nie mógł łkania powstrzymać, choć dobrze wiedział, że nie powinien chorego wzruszać widokiem swoim bez przygotowania. Całą siłą więc łkania stłumić nie mogąc, już chciał na ulicę uciekać, gdy chory łkanie to zaledwo dosłyszawszy, krzyknął: — Władek! — i byby nie mogąc się ruszać z łóżka wyskoczył, gdyby go żona nie wstrzymała, Władka przywołując, bo już teraz innęj rady nie było.

Ale nie zawsze gwałtowne wzruszenie chorych zabija, czasem powraca im zdrowie. To też i biedny Falski, którego choroby pierwszą przyczyną było gwałtowne zmartwienie, gdy mu wioską, Wołą ową, z powodu przegranego procesu zlicytowano, odżył teraz i wpół ozdrowiał z radości, zobaczywszy syna, którego za straconego uważał.

Po dłużej chwili dopiero, spostrzegł Władysław małą Ludkę, wchodzącą z trochę mięsa w koszyczku, po które do znajomej rzeźniczki pójść musiała, bo za małą była jeszcze, aby w sklepie i przy

chorym matkę wyręczać, a mięso przynieść już mogła. Więc matka teraz, sklepik zamknawszy jako w niedzielę, pobiegła tuż obok mięso to do poczciwej sąsiadki zanieść, która je przy swoim ogniu gotować obiecała, a sama do Władka co prędzej wróciła.

Od dwóch lat była to pierwsza szczęśliwa chwila dla tych biednych ludzi, Władek opowiadał wszystkie swoje przygody. Nad wieczorem, pożegnawszy się z ojcem, dał matce dwa zapieczętowane zwitki z papieru, w których były pieniądze przeznaczone, na powrót i pobyt w Warszawie. Potem pobiegł jak szalony ku rogatom Powązkowskim. Wiedział, że z profesorem dziś się nie zobaczy, bo poczciwy Natura każdego niedzielnego wieczoru skrupulatnie czas przepędzał z córkami, które tak jak i on pracowały cały tydzień. Ale on musiał go porzucić, bo trzeba mu było nie tylko żyć teraz, ale zarabiać, ażeby rodzicom pomagać. Wiedział także Władek, że nie miał po co widzieć się z profesorem, bo profesor sam biedny robił już dla zdolnego, a nawet lubianego ucznia wszystko, co tylko mógł. Był on tutaj taki szczęśliwy i tak go już z jego krzykiem, i gniewem, i poczciwością pokochał, że rozstać się z nim było dla niego nieszczęściem, a przecież rozstać się musiał i z nim, i z ukochaną sztuką. I nawet wołał, że profesora nie zobaczy, bo nie umiałby mu powiedzieć wszystkiego co czuł, i wyrazić mu wdzięczności swojej, na gniew jegoby się naraził, mówiąc z nim, a przecież opuścić go musiał.

Szczęściem, mimo niedzieli, zastał Stacha i temu w kilku słowach opowiedział wszystko, bo Stach i tak wiedział zawsze wszystkie myśli jego, więc łatwiej było mu się wytłómaczyć. Potem pobiegł Władek do gospodyni profesora i chciał ją pożegnać, ale zastał ją w kłopotie nad maszyną do szycia, która się zepsuła, a gospodyni miała właśnie pilną na poniedziałek robotę. Władek był zręczny, i w czasie pobytu u profesora nieraz wieczorem zastępował gospodynią u maszyny, bo gospodyni brała jeszcze robotę do szycia; tak pomagając jej czasem obeznał się Władek z maszyną, o tyle przynajmniej, ile każdy uważny a roztargnięty człowiek obeznać się może w kilka tygodni. Poznał więc teraz, że maszyna nie była zepsuta, tylko źle nastawiona, odkręcił też jedną szrubkę, przekręcił drugą, wsadził inną szpulkę, namazał trochę oliwą i zacząwszy szyć pysznie, aż warczała maszyna, pożegnał gospodynią uszczęśliwioną, że nie trzeba będzie płacić za naprawkę, i odbiegł.

Biegł prosto do matki panny Józefy, aby tam noc przespąć, bo dla tego jedynie tak natychmiast przyjaciół swoich pod rogatkami porzucał, ażeby

samemu sobie nie dać czasu do namysłu: czuł, że gdyby się do jutra zawahał, może nie miałby siły wykonać swego przedsięwzięcia. Nazajutrz zrobił to, co sobie już dawniej ułożył po rozmowie z jakimś chłopakiem, roznoszącym gazety: pobiegł do redakcyi jednego z pism i prosił o zarobek, jako roznosiciel, lub chłopak do posyłek. Na odmowy i niepowodzenie był przygotowany. Odmówiono mu w siedmiu redakcyach, wygnano ze czterech, on poszedł do dwunastój i tam go przyjęto. Wiedział, że w pierwszym redakcyjnym pokoju będzie mu wolno przez noc spać, wiedział, że będzie brał czterdzieści groszy dziennie, wiedział, że za dzień groszy dziennie samym chlebem wyżyje i że skutkiem tego będzie mógł trzydzieści złotych miesięcznie zanieść do sklepiku, gdzie właśnie codzienna porcja mięsa nie więcej jak złotówkę kosztowała.

Tak sobie z góry zrobić obmyślił, i teraz tak zrobił; chodził bez podeszew u butów, wychudł, ale trzydzieści złotych co miesiąc do sklepiku odnosił. Rodzice jednak nic o tém nie wiedzieli.

Takie zarobkowanie Władka trwało kilka miesięcy, w czasie których biegając z gazetami po całym mieście przemyślał ciągle, jakby można zarabiać więcej. Raz, wpadłszy na jakąś kłótnię szewca z chłopcem szyjącym na maszynie przyszwycy do butów, Władek, żwawy i czynny zawsze, siadł do maszyny i przyszył parę klinów gumowych do kamaszek, poczem chwycił swoje gazety i odbiegł, zanim szewc przestał kłócić się z chłopakiem. Nazajutrz, gdy do tegoż samego domu zaniósł gazetę, tenże sam szewc pokazał mu, co w robocie jego szewskiej źle było zrobione, ale zarazem powiedział, że mu da dwa złote dziennie, i życie, i kąć do spania, byle szył u niego. Władek mało nie podskoczył z radości, bo ani się spodziewał, na co mu się miało przydać owo obeznanie się z maszyną do szycia u profesora, ale wielkiej radości tej nie pokazał po sobie, bo mu zaraz na myśl przyszło, że najprzód z redakcyi przed miesiącem odejść nie może, a potem, że *szyjący* na maszynach pół rubla dziennie oprócz jedzenia biorą.

Tymczasem szewc wziął jego namysły za droczenie się, i nieledwie codziennie za otrzymaniem gazety namawiał do siebie roznosiciela, którego żwawość mu się podobała. Bo trzeba wiedzieć, że u rzemieślników często brak jest robotnika. Namawiał go, podnosząc zapłatę, aż gdy termin w redakcyi Władkowi upłynął, Władek przystał, i z artysty rzeźbiarza artystą do butów został. Nie robił wprawdzie butów, bo tego nikt się tak sobie od niechcenia na zawołanie nie nauczy, ale szył porządnie na maszynie szewskiej wszystko, co

mu majster i czeladnicy przygotowane już do szycia podali; teraz mógł już sto złotych miesięcznie do sklepiku matce odnosić, a to już nie była drobnotka. A czas biegł swoją koleją, aż raz w następną wiosnę, gdy w sobotę nad wieczorem przeszło czterastoletni Władek szył u otwartego okna na maszynie, w oknie tém pociemniało nagłe; Władek podniósł głowę, za oknem stał profesor Natura, a za nim Stach uczeń. Zobaczywszy Stacha, Władek domyślił się, że profesor wie już całą prawdę, bo on ze Stachem widywał się często, więc nic nie mówił, tylko wychyliwszy się przez niskie okienko, ręce profesora pochwycił i całował.

— No! no! zbiegu — wołał profesor — przyjdźno do mnie jutro na obiad, to pogadamy. I poszedł swoją drogą, ruszając ramionami.

Nazajutrz w Niedzielę poszedł Władek najprzód do sklepiku, i wchodząc od podwórza, bo od frontu już było zamknięto, spotkał się na progu z wychodzącym prawnikiem owym, który Władysławowi adresu rodziców dać nie chciał. Od owego czasu gdy się widzieli upłynął już rok; prawnik dawno wiedział o swojej pomyłce i tysiące razy Falskich za nią przeproszał; ale teraz pierwszy raz u nich z Władkiem się spotkał. Zaczął mu teraz to tłumaczyć, że w swoim zawodzie ma tak często z niepocziwymi ludźmi do czynienia, że aż się wszystkim niedowierzać nauczył. Władek dowiedział się od rodziców, że przychodził on z obietnicą wystarania się o posadę odpowiednią dla pana Falskiego, którego zdrowie od roku bardzo się polepszyło. Przyczyniła się do tego radość z powodu odzyskania syna. On sam utrzymywał stanowczo i z głębokim przekonaniem prawnikowi to powiadał, że czuł, jak każde pożywienie i każda łyżka lekarstwa, kupione za pracę ciężką jego trzynastoletniego dziecka, przywracały mu zdrowie i siły w niego wlewały.

Potém Władek udał się do profesora Natury. Tam napadnięto na Władka, aby szewstwo swoje zarzucił, poddając mu to lekcye rysunków, to małe rzeźbiarskie płatne roboty natomiast. Profesor milczał, kazawszy sobie dokładnie opowiedzieć obecne położenie Falskich. A gdy Władek to uczynił i tłumaczyć się zaczął, że zajęcia jakie mu stręczą są niepewne, profesor głową kiwnął przytwierdzając z ciężkim westchnieniem:

— Pewniejsze buty! oj masz słuszność, masz! — i koniec końców postanowiono, że Władek musi kamasze szyc, dopóki ojciec jego zajęcia pewnego nie dostanie.

Więcej niż pół roku szył jeszcze Władysław kamaszki. Tymczasem ojciec, odzyskawszy zdrowie, dostał zajęcie korzystne za sprawą adwokata.

Potém wrócili Falscy do tegoż samego mieszkania, którego próg Władysław pocałował; a uszczęśliwiony Władek mógł teraz z czystym sumieniem powrócić do ulubionego zajęcia pod kierunkiem Natury.

Przez cały ten czas, odkąd tylko Władek napowrót do Warszawy się dostał, pisywał on wernie co tydzień do proboszcza, choćby parę słówek, gdy na więcej czasu nie miał, ale pisał zawsze, a każdy list odczytywanym był chciwie przez jego wiejskich przyjaciół.

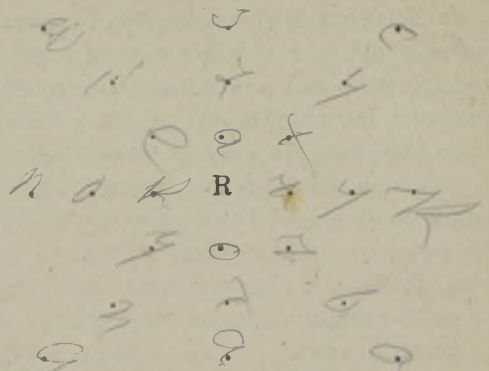
I było tak przez całe dwa lata, aż do trzeciego, do tej pory, w której to kto może z miasta wyjeżdża. I profesorówny, zabrawszy małą Ludkę, wyjechały na letnie mieszkanie z ojcem, bo wtedy ludziom, szkołom i biurom świętować pozwalają. Wtedy też listów od Władka na wsi zabrakło i proboszcz, i panna Katarzyna, i Janek niezmiernie się martwili. Zmartwienie ich jednak nie długo trwało, bo pewnego południa zaszeleściło coś na pastwisku za leżącym przy bydle Janku, Władek rzucił się jak długi koło niego na ziemię, ścisnąjąc go z całych sił. Ale niedługo musiał Janek wstać, bo go i państwo Falscy uściskać przecież musieli. A dalej wszyscy udali się na plebanią, gdzie proboszcz, ujrawszy Władka, jak dziecko się rozplakał, aż panna Katarzyna, łkając sama, musiała go uspokajać.

Dzisiaj już życie Władka poszło zwyczajną koleją, prosto, zacie i uczciwie. Niestety, przez jakie przeszedł, było mu twardą ale dobrą szkołą, nauczyło rachować na siebie samego, i iść na przebój drogą pracy i obowiązku.

Łamigłówka (Różia D.).

Imię znanéj nam panienci
Z raju, maju i piosenki —
A w imieniu tém znajdziecie
Inne imiona zawarte:
Dwa imiona dwóch jéj braci,
Jéj siostrzyczki imię trzecie,
Jéj mateczki imię czwarte,
Ptaka o dużej postaci,
Największego z papug zgrai —
I chleb Boży z puszczy Synai.

Gwiazdka botaniczna.



Znaleźć cztery nazwy roślin siedmiogłoskowe z literą pośrodku. 1) Piękny kwiat górski. 2) Drzewo owocowe ze stref cieplejszych. 3) Roślina jadowita. 4) Drzewo krajowe.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 36-go.

Łamigłówki w kwadraciku:

W	O	S	K
O	P	A	L
S	A	G	O
K	L	O	C

Zagadki przeciwieństwa:

- 1) Stary 2) Zima 3) Kontusz 4) Odnoga
- 5) Dach 6) Arcybiskup 7) Czapka 8) Zemsta
- 9) Astronom 10) Struś 11) Uważny 12) Igła
- 13) Amazonka 14) Tragedya 15) Łata 16) Archa
- niol 17) Suchy 18) Ukrop.

Szkoda czasu i atlasu.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Helenie Rómerównie w Abeli. Posłaliśmy zagubiony Nr. 17 Wieczorów, wszakże nie u nas zaprenumerowane i należało się o niego upominać tam gdzie wniesiona przedpłata.

Heli A. w Warszawie. W następnym N-rze Wieczorów rozpocznie się podróż, równie zajmująca, jak Wyprawa pskarby. Będą i inne ciekawe rzeczy, mamy nadzieję, że kochani czytelnicy będą z nas zadowoleni.